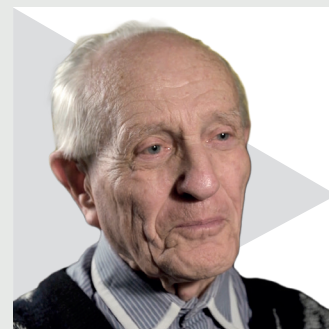




Mieczysław Chojnacki

część III z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII: 68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sudoł: Byli na przykład kapusie w celach?

Mieczysław Chojnacki: Ba, nawet był ksiądz taki jeden. I był jeden pułkownik, ale już nazwisk nie pamiętam. To paskudni byli ludzie.

Tomasz Sudoł: W Rawiczu, czy na Mokotowie?

Mieczysław Chojnacki: W Rawiczu. Zresztą oni... To była tak zwana przeprowadzka kulturalna. To oni takie ekipy kapusi wymieniali po różnych więzieniach też.

Tomasz Sudoł: A skąd wiedzieliście? Po czym się poznawało takiego kapusia?

Mieczysław Chojnacki: Kapusia? No, rozmaicie. Jak na przykład ten Mancak-Mancewicz się nazywał ten pułkownik. Mancak-Mancewicz. Nie wiem, czy to był przedwojenny, to był mężczyzna, taki wyglądał dosyć starszawy, ale to był bezczelny. On, jak pod drzwi podszedł i tam coś mówił, że czekał na list, żeby otworzyć drzwi, bo on tak nieraz listy roznosił, był zaufany. To on nagadywał na władzę ludową jak pieron. To już o, Mancak-Mancewicz na niego: „Idź, ty taki, owaki, stąd”. To on się nie obrażał, dalej tam puszczał te swoje. To byli tacy na bezczelnego. Tego księdza nie spotkałem, nie, tylko słyszałem o nim, że to był też bardzo niebezpieczny, a z jednym kapusiem miałem awanturę. On mi pierwszy przylał, a ja jemu odpowiedziałem dwa razy i wszedł między nas jeden więzień, mniejsza z tym. To był oficer przed wojną, jakiś podporucznik i właściciel majątku koło Druskiennik kiedyś. On się nazywał Wołk-Łaniewski. Był ożeniony, coś o 20-parę lat z młodszą osobą, gdzieś z mojego rocznika, to on był gdzieś, powiedzmy z 1905 rocznika, można powiedzieć. A to był równy facet i on nas wtedy rozbroił. I o co poszło?

To był taki Józio Cebula. Wpuścili go do nas do celi, żeby było pięciu. I Józio Cebula pochodził, pochodził, mówi, tam powiedział, jak się nazywa i zaczął śpiewać akowską piosenkę z Gór Świętokrzyskich i się rozplakał. My myślimy sobie w pierwszym momencie, może to jakiś równy chłopak, on taki był troszkę ociężały, ale mocny. I się okazało, że to kapuś, że on ubił jakiegoś ubeka czy milicjanta, bo tam coś zastał go z żoną swoją i podobno zastrzelił go tam, a też musiał być dobry, bo był uzbrojony, nie. Musiał być jakimś donosicielem uzbrojonym nawet. I dostał wyrok, podobno 15 lat. 15 lat, bo to taka trochę sprawa... I udawał akowca. Ale po kąpieli zwykle to sobie się wiadomości wymieniało i się okazało, że Józio Cebula to kapuś jest. Jak się tego kapusia pozbyć? Jeden to był zośkowiec, ale go szybko zabrali. To był taki Wolski Zbigniew czy coś. On to w czasie akcji na Arsenał przy telefonie siedział tam i odbierał różne takie potrzebne meldunki, i potem dawał znać tym, co tam czekali na tę karetkę z więźniami. Więc był w moim wieku, jak Warszawiak. Był taki dosyć wesoły, miał nieduży wyrok, jak się mówiło, bo tam około sześciu lat wyrok, że tam był w pewnej grupie ludzi podejrzanych tam o jakieś zamiary nieczne. Chyba z tej sprawy, co to wyrzucili przez okno tego biedaka, Anodę. Wiecie, kto to był, nie? Rodowicz. To ten był drugi, Józio. I był jeszcze, ładnie się nazywał, Edward Zamojski, to był narodowiec dosyć, należał do „Sokoła” przed wojną i do „Strzelca”, do „Sokoła”, to taka była organizacja ładnie ubrana, paramilitarna. Nie wszędzie była. I on pochodził z Brzeżan. Stał się taki trochę dokuczliwy, bośmy nie mogli sobie swobodnie porozmawiać. I on był ustawiony na tego Wołk-Łaniewskiego, ale jemu się przyznał do tego. Widocznie nie bardzo chciał kapować, z jakich powodów, nie wiadomo, ale stał się uciążliwy. I tak ja sobie pomyślałem, jestem najmłodszy, to ja go sprowokuję. Kiedyś wstawiali wodę i to naczynie sanitarne, to on zapomniał garnka na wodę wystawić i ja mu brzydkie słowo powiedziałem, go nazwałem po imieniu, i on się oburzył, i mnie uderzył. Ja to poczułem. To był mocny chłopak. Oddałem mu dwa razy i w tej chwili wszedł Wołk-Łaniewski, i on musiał znać pewne chwytły, bo chwycił tego Cebulę i mówi: „Spokój!”. On doskoczył i tak zwaną klapę rzucił. Przy każdej celi było takie urządzenie, że jak się uderzyło w taki przycisk, to tam wchodziło to i zrzucało taką klapę na zewnątrz i to tak głośno, troszkę hałasowało, przyszedł zaraz oddziałowy: „Co się dzieje?”. I ten kapuś wyskoczył, i po chwili oddziałowy przyszedł i mówi: „Wystawić jego rzeczy”. I już go nie wpuścili. Myśmy się w ten sposób pozbyli, a ja dostałem w łeb taką wiejską pięścią i na tym był koniec. Byliśmy o tyle zadowoleni, tylko że drugiego wpuścili. Drugiego wpuścili i to była dziwna rzecz. Bo był taki czas, jak się ukrywałem, że dużo mówiono w tej partyzantce antykomunistycznej, tam w okolicach Sierpca, o amnestii. I tam za bardzo dużo mówiono w tym oddziale Lisa, wachmistrza Lisa, o tej amnestii i ja sobie myślę tak: „Oj, tu będzie sporo takich, którzy chyba się ujawnią”. I jak był koniec października, to nie tylko z tych powodów, i z innych powiedziałem razem z kolegą, że my mamy gdzie pojechać na zimę, na wyspę Wolin. I tak się stało. On tam miał wujka, który był inspektorem szkolnym, a jak tam było szkolnictwo rozwinięte, to potem się dowiedziałem, że jedna z tych koleżanek na takiej konferencji nauczycielskiej miała siedem klas szkoły podstawowej i była nauczycielką. Czyli brakowało nauczycieli. Jak tam przyjechaliśmy, to od razu nas zatrudnił jako nauczycieli, ale to taka właśnie wstawka. I właśnie wtedy rozstałem się z tą organizacją i już miałem tyle rozumu, że nie wróciłem dopytywać się na wiosnę, bo wiedziałem, że iluś ludzi spośród partyzantów i spośród naszych kwatermistrzów to porobili kapusiami, więc po co będę ryzykował, szedł tam, skąd wyszedłem, skoro mogę się nadziać. Powiedzą: „Niech pan przenocuje u nas.”, a na drugi dzień się obudzę wśród ubeków, nie. I już nie wróciłem do partyzantki. Rok byłem w ROAK-u. I na tym się moja działalność skończyła. Ale zarobiłem coś, ze sześć, ze siedem wyroków śmierci, które amnestia zdejmowała, a za ten pistolet, który przywiozłem z zachodu, dali mi wyrok śmierci, bo był magazyn broni, bo to miałem tu, bo to miałem taki karabin tu, a tutaj miałem to, a tu owo. I były cztery czy pięć sztuk, i kara śmierci.

Tomasz Sudół: A wróćmy jeszcze do tego Rawicza, bo...

Mieczysław Chojnacki: Do kogo?

Tomasz Sudół: Do tego Rawicza, do więzienia jeszcze. Bo mówił pan o agentach celnych.

Mieczysław Chojnacki: Tak.

Tomasz Sudół: Powiedział pan, że jak zabrali tego Cebulę, to przysłali innego, tak?

Mieczysław Chojnacki: Tak, tak.

Tomasz Sudół: Kto to był?

Mieczysław Chojnacki: Ja jego nazwiska i imienia nie pamiętam, bo on był dosyć krótko. On był dosyć krótko i od razu się zorientowałem, że to jest kapuś. Mianowicie okazało się, że on zna rybaków z Międzyzdrojów. Tam był taki rybak Lipiński z rodziną, tam byli bracia dwaj, Sadowscy, z Wileńszczyzny, tacy w naszym wieku. Też chyba z partyzantki wileńskiej. To ja myślę: „Tu przypadek, że akurat wsadzają takiego, który zna Lipińskich, zna tam jeszcze innych, zna Sadowskich, zna tych, zna tych, wszystkich on zna. Tych, co ja znam”. Ciekawy przypadek, nie? I od razu, jak się przyznał do tego... Aha, i on mówił, potem się okazało, że mówił nieprawdę, bo on mówi: „Och, oni to wszyscy do...” Właśnie ci tacy znajomi i mój kolega, bo on został w Międzyzdrojach rybaczyć, a ja stamtąd wyjechałem. To taka historia. I on mówi: „I Biegański też wyjechał do Szwecji”. A potem się okazało, jak wróciłem na wolność, że to nieprawda, bo jak się rozstałem z Biegańskim, to on mówił, żeby do niego napisać, tylko że ja byłem coraz mądrzejszy. Jak ty ze mną zrywasz, to już ja do ciebie nie napiszę. I on przesiedział, kiedy już można było pyskować. Przesiedział w Prusach Wschodnich i tam sobie rybaczył na jeziorze, bo wiem to od swojego wujka, Kleberczyka, że do niego jeździli potem na wczasy. Czyli on przesiedział dzięki temu, że ja nie dałem po nim śladu. Ale ten Kleberczyk był fajtłapa, chociaż inteligencją mnie przerastał i miał też doświadczenie pewne, bo był pod kontrolą UB. Czemu był fajtłapa i tam jechał? Po co? Nie można było inaczej załatwić? Ale jakoś się wszystko szczęśliwie skończyło. A co jest z tym Biegańskim, to ja nie wiem. Jak odszedłem, koniec. I to było prawidłowe zagranie.

Tomasz Sudół: Gdzie później pan, z Rawicza, dokąd pana do więzienia przenieśli?

Mieczysław Chojnacki: Więc tam w Rawiczu to miałem to starcie z tym Utratą i stamtąd... Aha, tam jeszcze była taka ciekawa rzecz, bo jeszcze tam dostałem się w Rawiczu na izbę chorych. A mianowicie na skutek tych wszystkich tam przejść takich przez jakieś pół roku to cierpiałem, zaczęło mnie tu boleć i coraz mocniej. I to się rozwijało przez kilka miesięcy. Tak odetchnąć nie mogłem, tak mnie bolało w piersiach, ale koledzy mówią: „Do choroby jasnej, jak to ciebie tak boli...”, między innymi ten Michał Okoniewski i inni, to mówi, „To zwalaj klapę i mów, żeby ktoś do lekarza poszedł”. A ja mówię: „Gdzie, to on powie, że...”, taki był akurat dyżurny, taki Jagodziński, dowiedzieliśmy się

nazwisko, to taka była nieprzyjemna menda. Jak się mu powiedziało, że chce się do lekarza, „A na co chorujecie? Może paznokcie was bolą? Może włosy was bolą?”. Tak jeszcze zakpił z człowieka. Ponieważ ja tam siedziałem już blisko trzy lata, a ja nigdy się do niego o nic nie zwracałem, to jak oni powiedzieli to, że ja do lekarza chcę. Ja stoję i nic. I on się do mnie zwrócił: „A co wam jest?”. A ja mu powiedziałem właśnie to, co wam przed chwilą i on mówi: „Dobrze, jak przyjdzie lekarz, to ja powiem”. I tam taki niedokończony lekarz przyszedł z batalionu „Zośka”. Nazywał się Sikorski. Taki zośkowiec, jak to się mówi w skrócie. I coś jeszcze rok mu brakowało do ukończenia, powiedzmy, tych studiów i był tam lekarzem. Lekarzem był na białym bloku. Przyjął mnie i mówi: „Co ci jest?”. A to był niewiele ode mnie starszy człowiek. Ja powiedziałem, co. On mnie zbadał, zbadał, zbadał i mówi: „To się zbieraj, brachu, pójdziesz na izbę chorych”. Jak mnie zważyli tam na tej izbie chorych, to ważyłem 50 kilo i 10 deko, to nie za dużo. Byłem bardzo wychudzony i bardzo osłabiony. I miałem nerwicę, i tam coś jeszcze. Wsadzili mnie tam, jak to się po więziennemu mówiło, dali kapkę mleka, żebyśmy odżyli, to po trzech latach przeszło pierwszy raz taką jakąś zupę mleczną z jakimś tam kluskami zjadłem, co mi bardzo smakowało i tam był, powiedzmy, jakiś chyba biały chleb, na przemian z czarnym, takim nieco lepszym. Tam było coś do smarowania na tym. I ja tam chyba z miesiąc byłem na tej izbie chorych, przybyło mi parę kilogramów i tam spotkałem bardzo ciekawego człowieka, takiego pobratymca z partyzantki wileńskiej. Miał pseudonim „Szpagat” i nazywał się Jerzy Lejkowski. To on jest ciągle w pobliżu Łupaszki na zdjęciach. Też taki długi jak Łupaszka, tylko może rok, dwa ode mnie starszy. Gdzieś tam dosłużył wachmistrza i zawsze go widać w tej grupie przy Łupaszce. Jak będziecie kiedyś mieli zbiorowe zdjęcie, to ten był taki dobry kolega przez ten miesiąc czasu, powiedzmy, co byłem, graliśmy sobie w szachy, opowiadaliśmy sobie pewne rzeczy. On opowiadał o Wileńszczyźnie, takie, powiedzmy, co go nie kompromitowały jakoś, tylko opowiadał, jak tam było ciężko, jak tam było zorganizowane. Szczególnie nawet on, bo pochodził z Wilna i tam poszedł do tej partyzantki, tam komary bardzo nad tym jeziorem Narocz dokuczały. To było między jeziorem Narocz a jeziorem Miadzioł i taką miejscowością Miadzioł. I tam te historie opowiadał. A ja mu opowiedziałem coś swoje przy tych szachach. W tej celi był jeszcze gospodarz, z którym często rozmawiałem, z Ciechanowa, z ciechanowskiego... nie, z przasnyskiego. To jeszcze w życiu nie słyszałem człowieka, który by tak pięknie mówił o swojej żonie i który by mówił tak pięknie o swoim gospodarstwie, o tych zwierzętach swoich. To szedłem tam, żeby posłuchać tego faceta. On tam miał jakieś dolegliwości żołądkowe i to był facet taki może 50-letni. Ja zawsze go z przyjemnością wspominam, ale nie pamiętam ani nazwiska, ani imienia. A siedział tam, bo był, jak to się mówiło, kwatermistrzem. Pomagał tym miejscowym roakowcom czy jakimś innym już w czasie komunizmu. Za to dostał jakiś tam wyrok. Był schorowany na żołądek. Na pewno jakoś wyszedł. Chyba wyszedł stamtąd. Słucham?

Tomasz Sudół: A z Rawicza dokąd pana przewieźli?

Mieczysław Chojnacki: Tak, ale mnie tam jeszcze wzięli potem po miesiącu, bo jak mnie tam może kilo czy dwa przybyło, to zobaczyli, że już się poprawiam, to jeszcze pożyję i dali mnie na pojedynek. Na pojedynek mnie dali, ale to chyba było coś karnego, bo nieogrzewane jeszcze było w listopadzie i w październiku. W grudniu dopiero coś tam zaczęło być, ale już w grudniu mnie wywieźli właśnie do Wronek, można tak powiedzieć, bo tam do Rawicza... nie do Rawicza, a do tego, jak to, Sieradza, to tak był fragment, widocznie tam nas potrzymali trochę i tam była wymiana taka. Prawdopodobnie z Wronek więźniów do Rawicza, tu i ówdzie, i tak trochę przemieszali z tymi kapusiami razem. Zmienili umeblowanie. Więc ciekawie się odbywał taki transport, bo jak przywozili, powiedzmy,

do Rawicza, to zawsze psy, zawsze KBW. Wkoło karabiny maszynowe, posterunki tam gdzieś ukryte i w czwórkach prowadzili z dworca zawsze, w obstawie takiej, a przed bramą to odwiedzających zawsze stała grupka. Takie mieli smutne, ci ludzie, oczy, jak nie wiem, jak nas widzieli. Potem było przyjęcie tam. Rozprowadzanie po różnych celach na tej kwarantannie. Tak samo jak przywieźli nas do Sieradza, to tam trochę nas potrzymali. Nawet nie potrafię powiedzieć, czy to było dwa tygodnie, czy miesiąc. Mnie to już umknęło z pamięci. I wywieźli nas do Wroniek. Tam chłopaki nam mówili, że jak tam się przyjedzie, to biją. I biją pękami kluczy. Tak utrzymanymi i pod żebro albo gdzieś tam, że niejednego to poszkodują. Tak trochę żeśmy się tego obawiali, ale... Tak, to tak. Jak Stalin umarł, to też był ciekawy moment, to jeszcze w Rawiczu, nie wiem, czy to można jakoś wrócić?

Tomasz Sudół: Tak, tak, oczywiście. Nie ma problemu.

Mieczysław Chojnacki: Można? Więc w 1953 roku kolega jeden, jeszcze w Rawiczu, zauważył, na wiosnę gdzieś, prawda...

Tomasz Sudół: W marcu.

Mieczysław Chojnacki: Na jednym z dachów, bo był wysoki mur, my byliśmy na pierwszym piętrze, więc było tam widać do połowy masztu biało-czerwoną flagę opuszczoną. Ktoś ważny umarł. I nie mogliśmy się dowiedzieć. Na spacerze widzieliśmy, że oddziałowi noszą tu jakiś taki medal z jakimś, no, tylko głowa, prawda, jakieś coś. Co to za medal, nie dał popatrzeć, nie wiadomo, kto to. Dopiero gdzieś z widzenia chłopaki rozgłosili, że Stalin umarł. I nastąpiła zmiana w traktowaniu. To było jeszcze przed wysłaniem mnie na to leczenie tak zwane. Otóż wychodzimy na spacer, bo spaceru było jakieś 10-15 minut, w kółko tam się chodziło. Może wypuszczali, ja wiem, z jakichś dziesięciu cel, to może z 50 ludzi i się w kółko chodziło między szpitalem a czerwonym blokiem. Wyprowadzają nas na spacer, więc otwierają: „Wychodzić!” i od razu nosem do ściany. Ustawiamy się, bo tak trzeba było I tak już widać tam po jednej stronie, po drugiej, już stoją prawie wszyscy. I naraz podszedł do nas Kukawka, ten łobuz taki, co miał na sumieniu Kazimierza Pużaka. I mówi: „Chłopy, co wy robicie?!”. Tośmy się bliżej przysunęli do tej ściany. To sukinsyn sobie myśli: „O, wy jedne, to wy nie rozumiecie, jak się do was po polsku mówi?! To się obróć, niech ja na twoją gębę spojrzę! Co ty myślisz, że tu gestapo jest!”. To tam odwróciłem się, tak myślę sobie: „Pewno będzie chciał uderzyć albo coś”. Tak trochę głowę schowałem w ramiona, jak przyleje, to się nie przewrócę. A on nie. Stoi i przemawia, tak jakby inny człowiek do nas. Mówi: „To nie można tak stawać, to trzeba normalnie stanąć sobie”. I myśmy się tak ustawili. „Choroba, co to się dzieje?”. I widzimy, że wszyscy się tak ustawiają. Cała ta ferajna, która ma wyjść na spacer, tam z dziesięciu czy z iluś cel. Proszę was. Wychodzimy normalnie. Wychodzimy normalnie, przychodzimy normalnie, chcemy się ustawić o ścianę, a Kukawka do nas mówi: „Dajcie spokój, stańcie normalnie, tak jak żeście wychodzili! I nigdy już tego nie róbcie”. Jak ja już wychodziłem z tego szpitala, czy tam izby chorych, to już wychodziłem, normalnie się ustawiałem pod ścianą taką. To już była ta szkoła. Ale jeszcze miałem jedną poważną sprawę, to trzeba o tym powiedzieć, w Rawiczu. Kto wie, czy by mnie nie zastrzelili. Diabli wiedzą. Ale miałem równych chłopaków, tych w celi, tych różnych spod Kurpi, tam o, taki Stasiek Gwóźdz, co pod pseudonimem „Generał” niepokoił cały czas lubelskich tych ubeków, że złapali jego, „Gdzie ten »Generał« jest?”. „To ja jestem ten »Generał«...”. On prasę sam drukował, sam słuchał tych meldunków i podpisywał „Generał”. I oni postawili na nogi dziesiątki funkcjonariuszy i szukali tu jakiejś organizacji, a to był Stasiu Gwóźdz, tam coś z pięć lat ode mnie młodszy.

I robił im przez parę miesięcy takie zamieszanie w okolicy. Więc ten Stasiu Gwóźdź, jeszcze Gleba i tamci inni, Ziętek ten taki, co skończył tę szkołę ślusarską czy jakąś tam w fabryce tej, i się oni okazali bardzo równymi facetami. Chodziliśmy na tym kółku spacerowym i ja tak, nie ruszając wargami, jakieś dziesięć kroków ode mnie szedł taki ostatni z tej Brygady Świętokrzyskiej, taki, widać, oferowały jakiś był. Bo ja do niego tam przemówiłem coś. I on zamiast odpowiedzieć w ten sam sposób, nie ruszając głową i wargami, obrócił łeb tak, obrócił łeb tak i coś mówi. Zauważył ze zwyczajki jeden. I mówi: „Wy, wy tam, chodźcie!”. A ja udawałem, że nic. „A ten tam pierwszy, co idzie...”. A ja idę dalej. Idę dalej, a on przekazał do następnej zwyczajki już narożnej. I ja tam tego też minąłem, i idziemy dalej. Mamy już niedaleko, ze 30 kroków, powiedzmy, i on woła: „Ten, ten, zatrzymać się!”. I słyszę jak on manipuluje przy zamku i ładuje RKM. Dochodzimy do bramki, ja mówię jeszcze do chłopaków: „Wrócić się? Wrócić się? Bo może strzelać”. A jeden odpowiada, ten Michał mówi: „Niech strzela taki syn, raz kozie śmierć”. Mówi: „Nie podchodź, bo teraz to może nie wiadomo co być z tobą”. I bramka, mur i zniknęliśmy mu z oczu. Nie wiadomo, co by było. Albo bym miał sprawę, by mi dołożyli parę lat, albo by mnie zastrzelili. Jeszcze by nagrodę dostał. Więc to warto było powiedzieć ten incydent. I w ten sposób się udało. Jak myśmy tam weszli do celi, nas zamknęli, jak myśmy się cieszyli. Nie byli to równe chłopaki? Bo jak by zaczął strzelać, to nie tylko ja bym oberwał. Bo oni szli za mną sznurkiem. Ile oni ryzykowali. To właśnie trzeba powiedzieć. I to Okoniewski, to też kapral podchorąży z AK, i to ten Gwóźdź, ten „Generał”, Glempl, z narodowej partyzantki spod Kolna i taki z Grodna jeden. Nazywał się Jasiu Korsun. To on miał taką miłą sympatię, jak chodził do pierwszej klasy szkoły powszechnej, to on opowiadał, jak list do niej napisał i jak to piękny ten list był, że: „Kochana Krysio, Jasiu Korsun pisze list do ciebie”. Taki był tytuł. Mnie to się zawsze przypomina, że taki gnojek i już sympatię miał. To byli ci, co, można powiedzieć, kto wie, może życia nie, ale w każdym razie ja bym za to beknał. Przynajmniej parę latek dołożyliby mi. Jak to dwóm się sprzeciwić na posterunku.

Tomasz Sudol: A później był pan we Wronkach.

Mieczysław Chojnacki: Więc to był ten przypadek i nas wywieźli do Wronek. Przywieźli nas do Wronek, to była normalna taka kolej rzeczy, że pole obstawione posterunkami, z bronią maszynową i pieski, i prowadzą nas czwórkami, idziemy, tam nas było chyba, ja wiem, że dwa wagony. To mogło być ponad 100 osób, ponad 100 ludzi. I proszę panów, przyprowadzili nas do tych Wronek, tak jesteśmy ustawieni, trzeba uważać, można czasem uskoczyć. I tam dawniej krzyczeli: „Nie po białym! Nie po czarnym!”, bo tam takie były ścieżki odmalowane, że czarny kolor to nie trzeba stąpać. Po białym też, bo się brudzi. Tylko tym balkonikiem takim iść na centralce, takim metr szerokości, a jak ktoś oberwał w bok kluciami, to mimo woli tam wstąpił. To jeszcze drugi mu poprawił. I tak. I się okazało, że nie biją. Nic, spokój. To właśnie takie były, powiedzmy, troszkę odmiennie czasy po trzech latach mojego pobytu w więzieniach. Potem do więzienia tam nas na pierwsze piętro załadowali i okazuje się, że było nas w takiej celi, powiedzmy, jak to dawniej była karna, nie karna, tylko ta większa cela w Rawiczu, to na takiej celi nas tam ośmiu wprowadzili. To już było luźniej. Luźniej było. I taka niespodzianka jeszcze jedna, pukają do drzwi i opowiada się taki więzień, który zawsze zapisywał na wypiskę tak zwaną, miesięczną, takie zakupy, tam jakiś. To tam... Aha, ksiądz siedział młody z nami. Tak. Ksiądz, który za Murata siedział tam, wypowiadał jego jakichś żołnierzy, jak przyszli, to obowiązek. I on tak się tłumaczył, że przecież mają obowiązek ich rozgrzeszyć i to wypowiadać, i tak dalej. To oberwał tam coś z osiem lat i siedział ten młody kapłan, tylko sobie przypomnę może jego nazwisko. Właśnie on podszedł i się pyta: „Kto jest?”. A, no to wypiskę. Myśmy przyjechali tak, warto by było zrobić. „A co można kupić?”. I ten zaczyna

mówić: „Kiełbasa...”, a gdzieś który się odzywa: „A to końska?”. „Nie - mówi - normalna taka kiełbasa”. „A smalcu można kupić?”. „Można, można kupić smalcu”. „Aha. A oprócz kiełbasy jeszcze coś jest?”. A to jeszcze wymienił jakąś tam inną odmianę kiełbasy. A to margaryna jakaś tam dobra. A tam cukru coś, nie pół kilograma, tylko kilogram. Cebuli, to taka konieczna potrawa, żeby tam ukąsić co dzień, żeby skorbutu nie dostać. Żarcia nakupili, ten ksiądz się odwraca i mówi: „Naprawdę to wszystko tam macie?”, „A papierosy?”. „No i papierosy, i tam to...”. A ten ksiądz się odwraca i mówi: „Chłopaki, Kanada!”. To taki był odbiór tego. Był przeskok jakiś nawet i w wyżywieniu. I tam we Wronkach to z tych wołków czyścili groch. Więźniowie dostawali, jak miała być grochówka tam raz w tygodniu czy raz na dwa tygodnie, to była gęściejsza i bez tych wołków. Kapuśniak też był bez robaków.

Tomasz Sudół: I ja długo pan siedział we Wronkach?

Mieczysław Chojnacki: To gdzieś do lata 1955 roku, to jakieś, powiedzmy, półtora roku czy coś. Półtora roku i nas stamtąd zabrali do Sieradza. Tam byłem dosyć krótko, ale kilka miesięcy, bo tam pracowałem jako krawiec, uczyłem się na maszynie elektrycznej zszywać podszewkę. To tyle. Wam opowiedziałem bardzo dużo. To we Wronkach było... we Wronkach czy ja gdzieś pracowałem... nie, nie pracowałem, tylko siedziałem z dość ciekawymi ludźmi, mianowicie w jednej celi siedziałem tak: z Melnychukiem Eugeniuszem, to był nauczyciel w Nowym Targu, podporucznik, który był w zgrupowaniu „Ognia”. On bardzo ciekawie opowiadał o swojej rodzinie.